

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

5

Ciąg dalszy.

W rogu pracowni znajdowały się schody, które prowadziły do małego pokoiku, w głębi znajdowała się wielka szafa. Wiera otworzyła ją i weszła do środka, a pod jej ciężarem rozsunała się tylna ściana szafy, w również czarodziejski sposób rozsunało się i futrowanie z drzewa, jakie przed sobą ujrzały. Gdy Joanna i markiza miały to dziwne przeżycie, Wiera zasuwając za niemi starannie wszystkie drzwi. W pokoju, w którym teraz znalazły się, otworzyły się nowe drzwi, przez które przeszły do dużej, starannie umeblowanej sali, bez okna, oświetlonej tylko przez witraż w suficie.

Po środku stało wielkie łóżko; na kominku palił się ogień, w wazonach kwitły róże, na obok stojącym stoliku znajdowało się kilka książek.

— Oto jest pani u siebie — odezwała się Wiera. — Nikt tu pani nie będzie przeszkadzał. Te wolną niewolę, w jakiej się pani teraz znajduje, postaram się uczynić jak najmielszą.

Pokazała za parawanem małe łóżko, przeznaczone dla Joanny, sama zaś będzie spała przy otwartych drzwiach w bocznym pokoju. Joanna będzie doglądała chorej, ona zaś zajmie się gospodarstwem.

— Dobrze tu jest — odpowiedziała markiza, kładąc się zmęczona na kanapie — lecz wyznam pani, droga Wiero, iż boję się trochę...

— Niech pani nie obawia się niczego, jest pani tutaj tak bezpieczna, jak nigdzieindziej.

— Proszę mi wybaczyć jeszcze to pytanie: czy nie mogła mnie pani przyjąć u siebie?

— Byłoby to lekkomyślnem. Tam jest stróżka, sąsiedzi, ja jestem znana. Tutaj zaś znajduje się pani daleko od Paryża.

— A więc my teraz nie u pani jesteśmy?

— Kto mówi, że nie u mnie? Jest to zakątek, gdzie nieraz przychodzę odpocząć. Niech pani będzie spokojną.

Na drugi dzień rano rozpoczęły się ciężkie chwile. Nie miała jednak czasu krzyknąć, gdyż zaraz Wiera położyła jej na twarz maskę z chloroformem.

— Nie można dopuścić, by ktokolwiek słyszał — odezwała się Wiera do Joanny, która mimo swej całej zimnej krwi, drżała.

Wkrótce potem pani Morailles powiła syna, Jacka Roberta, tak nazwanego przez pamięć dziadka barona Jacka Cahorte i ojca Roberta Le Chars.

Łoskot otwieranych gwałtownie drzwi dorozki, wyrwał Joannę z tych wspomnień. Znajdowała się przed pałacem.

Portyer powitał ją uśmiechem, jako dobrą znajomą.

— Czy pani markiza jest?

— Wróciła właśnie przed pół godziną.

X.

KLESZCZE ZACISKAJĄ SIĘ.

Po wejściu do przedsionku z samochodu, markiza Morailles poczęła wolno wstępować po szerokich marmurowych schodach, wysłanych pasowem sukniem, udając się do swego apartamentu. Na pierwszym piętrze kamerdyner John, we fraku, krótkich jedwabnych spodniach i pończochach, zerwał się szybko z fotelu na jej widok i podał na srebrnej tacy bilet wizytowy.

— Pan Maurycy Le Chars — dodał głosem pełnym powagi, z akcentem angielskim — pytał się, czy pani markiza będzie o piątej godzinie, o której przyszedł po raz wtóry. Ponieważ nie zastał pani markizy, zostawił znowu drugi bilet.

Pani Morailles minęła go bez odpowiedzi. Flegmatyczny John, który zawsze był dla niej antypatycznym, teraz wydał się jej jeszcze bardziej de nerwującym: czuła nieufność do tego służącego, który podobał się jej mężowi. Doznała pewnego niepokoju, czytając ten bilet, kawałek bristolu, na którym widniał napis:

Maurycy Le Chars

Konsul Francji.

Palazzo Corsi.

Weneza.

Wspomnienie tragicznego końca Roberta, milczenie jego brata, który posiadał ten sekret i teraz zjawiał się niespodzianie, poruszyło ją silnie.

— I pragnie mnie jeszcze dzisiaj widzieć.... — to dziwne, pomyślała.

Co ma jej do powiedzenia po tak długim czasie? Wytłomaczyć swe milczenie? Może z innym zamiarem tu przyszedł? Gubiła się w próżnych domysłach.

Zanim udała się do siebie, wstąpiła jeszcze według przyzwyczajenia do pokoju syna. W czarnym aksamitnym ubraniu, z białym koronkowym kołnierzem, wyglądał jak małe książątko z czasów odrodzenia. Pomimo, iż miał już sześć lat, nosił jeszcze długie włosy w puklach.

Na widok matki, rzucił książkę z obrazkami i podbiegł ku niej radośnie. Ucałowała go serdecznie.

— Dlaczego masz takie czoło gorące, zmęczyłeś się?

— Nie, mamusiu, bawiłem się tylko dzisiaj długo. Jezdziłem długo na moim czarnym ponny, który jest taki zły. Byłem aż w hipodromie w Longchamp....

— A potem coś robił?

— Potem — odezwała się miss Hallam, guwernantka, długa jak szparag, żółta z wielkimi zębami — potem Andrzej zajmował się lekcjami razem ze mną, ale muszę powiedzieć, był roztargniony i nieuważny.

— O, mój synku, to mnie martwi — po zabawie trzeba się nauczyć swych lekcji i nie martwić miss Hallam, która cię kocha.

— Dobrze, już będę uważał, przyrzekam to mamusi i pani.

Za tę odpowiedź matka ucałowała go znowu. Jej mały Andrzej, pomimo wielkiego podobieństwa do ojca, zdradzał już jak najlepszy charakter. Była to największa dla niej pociecha. Od chwili urodzin tajemnego swego syna, kochała Andrzeja więcej, niż poprzednio, ale więcej jeszcze miłości miała dla Jacka, który musiał przebywać zdala od matki.

Powróciła do swego apartamentu: jej starsza pokojówka, Zofia, przygotowała toaletę, którą miała mieć wieczorem na wielkim przyjęciu u księcia d'Eylau, przyjaciela męża.

— Pan Markiz — odezwała się pokojówka — telefonował przed chwilą.

Przyzwyczajona do tej wygodnej korespondencji z mężem, zbliżyła się do małego aparatu i po zadzwonieniu zapytała:

— Chcesz ze mną mówić Henryku?... Czego pragniesz?

— Tak, to ja — rozległ się w słuchawce głos męża. — Miałem być dzisiaj razem z d'Aurory na obiedzie w klubie, lecz wyobraź sobie, iż mnie zawiódł: dostał influency. Czy pozwolisz mi zjeść obiad razem z tobą? nie będę natrętnym?

Zawahała się chwilę, poczem odpowiedziała lakonicznie:

— Proszę o to bardzo.

Następnie zwróciła się do pokojówki:

— Proszę powiedzieć Johnowi, by podał nakrycie dla pana.

Po wyjściu służącej, brzydkiej brunetki, lecz o inteligentnej twarzy i zgrabnie ubranej w czarną suknię, markiza przeszła do sąsiedniego pokoju toaletowego, by przed obiadem wziąć kąpiel. Zaledwie poczęła się rozbierać, ukazała się pokojówka:

— Pani Dandre pragnie widzieć panią markizę.

— Proszę wprowadzić.

Zazwyczaj nigdy nie przychodziła o tak późniejszej porze, lecz o jakiegokolwiek godzinie zjawiała się, natychmiast była przyjęta. Gdy pani Morailles ubierała się, zawsze kilka chwil porozmawiała ze swą przyjaciółką, zanim odprawiła służącą.

Obecnie Jednak Joanna wyglądała tak przerażona, iż markiza, przeczuwając coś złego, odezwała się:

— Sama rozbiorę się Zofio.

Pokojówka wyszła natychmiast, łatwo jednak domyśliła się, iż pani nie chciała, by słyszała ich rozmowę, dlatego też zatrzymała się przed drzwiami.

Pani Morailles przestrzeżona instynktem, otworzyła drzwi tak gwałtownie, iż Zofia ledwie zdołała uciec przez garderebę, od której drzwi markiza zamknęła na zasówkę. Poczem odezwała się:

— Co się stało, Joanno?

— A czy Zofia przypadkiem nie podsłuchuje nas?

— To możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne — odpowiedziała markiza. — Podejrzewam, że i John śledzi mnie na korzyść męża, a miesza się do tego nawet i Miss Hallam, mimo całej swej godności.

Joanna zmieszana obojętnym tonem Aurory nie śmiała od razu wyznać wszystkiego, po chwili jednak w cichych słowach, przerywanych łkaniem opowiadała całe nieszczęście.

— Oh, mój Boże!... — wyjęła tylko markiza i przerażenie jej było tak wielkie, że reuice oczu tak się rozszerzyły i tak gwałtownie zaczęło bić jej serce, iż przestraszona Joanna schwyciła flakon wo-

dy koloniskiej, by ją cucić. Lecz markiza zapytała, oddychając ciężko:

— Co tu począć?... Czyś kogo zawiadomiła?

— Nie, nikogo, pomyśl tylko Auroro!

— Tak, to prawda... Lecz to straszne, nie możemy tak pozostać. Moje dziecko!... Nie można mi ukraść dziecka!... O Boże! to tylko on mógł porwać mi Jacka, lecz potrafię go odebrać!

Głos jej brzmiał tak strasznie, usta skrzywione z gniewu i bólu, ręce zaciśnięte kurczowo, zdradzały takie napięcie woli, iż Joanna ujrzała, jak matka w obronie dziecka zamienić się może w tygrysię.

— Nie, Auroro, to nie on. I mnie przychodziła ta myśl, lecz ją odrzuciłam. Coby znaczyło zostawienie na miejscu Jacka innego dziecka?

— Czy ja wiem? Lecz tyś odesłała tamtą dziewczynkę?

— Komu? przecież ja nie wiem, kto są jej rodzice...

— Lecz na prefekturę, na policję...

— I musiałabym wtedy wyznać, że mnie porwano Jacka.

— A więc?

— Trzeba było kłamać, lecz to już mniejsza, żądałoby jednak dowodów...

Zrozpaczona matka załamała ręce.

— A jeżeli zawiadomię prefekta policji?

— Myślałam o tem, lecz będzie to samo?

— Pójde jednak do niego.

— W takim razie będziesz zmuszona wyznać mu wszystko.

— Jeżeli tego trzeba, jeżeli za cenę mej czci odzyskam dziecko...

— A nie obawiasz się?...

— Że prefekt policji nie zachowa mego sekretu? Nie, jest to uczciwy człowiek, wszyscy tak mówią; przedstawiono mi go na balu w ambasadzie austriackiej — ma czyste, jasne spojrzenie.

— Czy to nie jest zbyt ryzykownem Auroro?

— Nie, tylko jak go zobaczyć? Maż je dzisiaj obiad w domu, a potem ma mnie odwiedzić na bal. Lecz ja nie pójde na to przyjęcie!

— A jednak powinnaś iść.

— Dlaczego?

— Jeżeli markiz podejrzewa już coś, możesz wszystko jeszcze zatrzymać, jeżeli nie, strzeż się, byś nic przeciw sobie nie wzbudziła.

— Więc cóż czynić?

— Napisz do prefekta.

— List? otrzyma go dopiero jutro, a niewiadomo, kto, go roztworzy?... A gdybym przez telefon dała mu znać?

— Poproś go lepiej, by był na owym wieczorze, na który idziesz, nie tłumacz jednak po co. Będzie zaintrygowany i przyjdzie, a ty już znajdziesz możność porozmawiania z nim.

— Lecz jak mu przesłać to zawiadomienie, przecież tutaj telefonować nie mogę.

— Napisz bilecik, a ja postaram się w jakikolwiek sposób doreczyć mu go.

Markiza siadła przy biurku i napisała kilka wierszy.

— Nie podpisuj tylko — zwróciła uwagę Joanna.

— Dlaczego? będzie sądził, że to mistyfikacja.

— Nie, pan Salandre przyjdzie mimo wszystko.

— Tak, uchodzi on za bardzo czułego, na wdzięki kobiet, opowiadają o nim różne historie — będzie więc zaintrygowany... Przeczytaj ten bilet.

„Jeżeli pan będzie dzisiaj na wieczorze u księcia d'Eylau między jedenastą a dwunastą, będzie pan mógł wybawić ze straszego nieszczęścia kobietę, której nazwisko nie jest panu obce. Nie ma ona, niestety, innej możliwości widzieć pana dzisiaj, nie jest również w stanie napisać więcej, jak tylko wyrazić z góry swą głęboką wdzięczność i zapewnić o swem poważaniu.“

— Doskonale; zapieczętuj i ja zaraz idę.

— A co zrobisz z tem dzieckiem, które do nas nie należy.

— Będę czekała, aż dowiem się o jego rodzicach. Obecnie karmi je Ludwika — odpowiedziała Joanna i wyszła pospiesznie, całując na odchodem Aurorę.

XI.

NOWE NIEBEZPIECZEŃSTWO.

W tej samej porze markiz Morailles przyjmował również gości.

Kajetan, jego ulubiony stary służący o siwych włosach, zapukał do drzwi i oznajmił:

— Pan Abel Smith!

Markiz, ubrany już w garnitur frakowy, obrócił